

## LASKA Z ORLĄ GŁÓWKĄ

Parasolnik Bauman miał warsztat w Lublinie, przy ulicy Solnej. Bauman parasolnikiem był w zasadzie tylko z nazwy zawodowej oraz dlatego, że z musu produkował i naprawiał parasole. Z musu i dla chleba, bo tak naprawdę miłością i sensem życia parasolnika Baumana były laski. Piękne laski produkował Bauman – bukowe, akacjowe, dębowe... Był zawodowcem, który kochał swój fach, nigdy spod jego ręki bubel żaden nie wyszedł, żaden zbuk laskowy, felerny krzywizną nienormatywną czy gruzłem jakimś nieoczekiwanym na lakierowanej gładzi. Dlatego prawdziwi koneserzy lasek, nawet z odległych stron dawnej Kongresówki, wiedzieli, że rasowe laski – to tylko u Baumana w Lublinie.

Na laski brał najlepszy materiał. Za odpowiednio sezonowanym drewnem potrafił zjeździć tartaki całego Roztocza, od Kraśnika po Lwów. Bo laski z byle czego zrobić się nie da. A przynajmniej laski, której nie powstydziliby się Bauman. To drewno ciął mu na odpowiednie kawałki jeden stolarz w Wilczopolu, którego nazwisko zaginęło już w kurzu przeszłości. Nie zasłużył się widać niczym oryginalnym ani unikalnym, poza tym, że okazjonalnie ciął bukowe deski na drażki dla parasolnika Baumana.

Kije na laski robił z tego Bauman sam. Miał własną drażarkę, wiekową maszynę, unikalną już w swej prymitywnej, pierwotnej formie, ale wciąż sprawną, do tego stopnia, że Bauman nie zamieniłby jej na najnowszy model od Kruppa, choćby mu dopłacali. Może zresztą co uczciwsi by właśnie i dopłacić powinni, bowiem maszyna, na której Bauman drażył swoje kije, wartość zabytku posiadać musiała nielichą. Ale to teoria i miraż, bo Bauman drażarki przedpotopowej sprzedawać nie zamyślał, przywiązany był, bo w warsztacie przy Solnej była od zawsze, za dziadka jeszcze, też parasolnika, jak po nim ojciec i po nim on.

Potem, gdy już podrażył drążki na kije, parował je w parniku. Czas parowania był tajemnicą zawodową Baumanów. Każdy parasolnik ma swoje sekrety, wśród nich sekret odpowiedniego parowania należy do najbardziej istotnych. W każdym razie kije Baumana po parowaniu były elastyczne niczym wiklina, nie tracąc nic z twardości i jednolitości powierzchni. Jechały więc następnie, gorące, wilgotne i giętkie, na giętarkę, gdzie Bauman giął im końce w zawadiacką rękojeść, a resztę prostował i ogólnie dopieszczał pod względem kształtu. Potem jeszcze tylko suszenie – ostatnia czynność, której tajniki obrazowo stary Bauman-ojciec przekazał synowi, a których kwintesencja objawiała się w często powtarzanej mu z melodyjnym, żydowsko-wschodniopolskim zaśpiewem pogróżce:

- A przesusz mi laskę, kochanieńki, to ci ja ją w żopu zasadzę zaomlonym końcem naprzód.

Bo gorsza od przesuszonej laski jest tylko laska krzywa. A może nawet i nie.

Dalsza rola w tworzeniu dzieła należała do czeladnika. Szlifował, bejcował, lakierował – to ostatnie też pod czujnym okiem majstra, bo zbyt gruba warstwa lakieru wstyd przynosiła, o zbędnym koszcie i wyrzucaniu grosza w błoto nie wspominając. Potem jeszcze tylko gumka na koniec i już. Tak powstawały popularne laski baumanówki, tanie, trwałe i wygodne.

A czasem mistrz Bauman miał natchnienie. Wówczas najpierw wyciągał z kredensu flaszkę dereniówki, polewał sobie i czeladnikowi dla towarzystwa, a potem wyciągał szary papier i kopiowy ołówek – i rysował. Co rysował? Główkę. Kreślił, gumował, przerabiał, wreszcie, często późną nocą, brał papier w kieszeń, w drugą flaszkę z resztą dereniówki i szedł na Kozią, gdzie mieszkał i pracował złotnik Józik, który cuda potrafił wyczyniać ze srebrem. Z tego mariażu Baumanowego natchnienia z Józikowym talentem powstawała srebrna, wymyślnie kuta blaszka, z której surowego kształtu niewiele można było odczytać, dopóki jej Bauman pracowicie nie okuł na drewnianej rękojeści.

Dopiero wówczas okazywało się, że blaszka to nie blaszka, tylko kwiat fantastyczny, guz jakiś ozdobny albo lwi czy ptasi łebek. Takich ozdobnych lasek nie robił parasolnik Bauman na zamówienie. Tu zamówienie brał z własnej duszy, w której musiała mu ta główka zagrać, musiała jej dusza zażądać, by okazała się Baumanowi w całej swej przyszłej wspaniałości, w swym misternym geniuszu. Robił więc laskę-unikat, laskę-rarytas, dzieło sztuki prawdziwej i pierwotnej, jak tylko może być pierwotna i prawdziwa sztuka z warsztatu rzemieślnika o duszy, co gra, pochodząca. Taką laskę wystawiał potem Bauman na witrynie i przyciągała ona, zgodnie z zamysłem, spore tłumy gapiów, co prawda w większości z okolicznych bida-kamienic, zwabione zmianą w monotonnym na co dzień wystroju rzemieślniczych witryn. Miała wabić i wabiła, nigdy wszakże zbyt długo, bo zawsze szybko znajdował się amator, skłonny zapłacić cenę całkiem niewąską, nieraz i dziesięć razy wyższą od tej, którą za zwykłą baumanówkę Bauman wieszował. Dawali bez mrugnięcia, bo laska warta była tego, a i więcej może, lecz Bauman nie zdzierał, lecz ceny żądał uczciwej, zysku się możliwego do uzyskania pozbawiając, zyskując w zamian na renomie. Potem dzielił się uczciwie z Józikiem i wypłacał premię czeladnikowi, po prawdzie nie wiadomo za co, chyba za towarzystwo przy natchnieniu. I wracał do swoich solidnych, fachowo wyrobionych baumanówek i do parasoli, które można było nieraz dostać na wielu targowiskach Roztocza, od Kraśnika po Lwów, i na które zbyt był do samej wojny.

Tak właśnie: w wyniku natchnienia, na skutek dotknięcia Baumana bożym palcem, powstałam ja – laska z orlą główką. W przeciwieństwie do moich poprzedniczek nie miałam szczęścia. Ledwie mnie Bauman na drażarce wyoblił, w parniku wyparzył, na giętarce wygiął, ledwie mnie wygładzono i polakierowano, tylko co Bauman, podlewając wenę dereniówką, na spólkę z Józikiem blaszkę, co to się w orli łeb wkrótce przemieniła, sporządzili, ledwo na wystawę wywędrowałam, zastępując stojący tam miesiącami zakurzony parasol, gdy wybuchła wojna. Tłumy zaczęły się przelewać przez Lublin w tę i nazad,

wojsko, cywile, Solnej w swych nieodgadnionych peregrynacjach nie omijając, zabrał mnie więc Bauman przezornie z witryny, postanawiając słusznie licha nie kusić. Zabrał i schował do szafy, jednak długo tam nieostałam. Ledwie się zrobił listopad, a jakiś niemiecki gefreiter dla czystej uciechy podkuławił Baumana w biały dzień, zegarek mu z ręki zabierając na dokładkę. Wyjął więc mnie Bauman z szafy, srebrny orli łeb dla ostrożności zamazał bejcą i zaczął używać, jako że niemieckie okulawienie okazało się trwałe i solidne, jak każda niemiecka robota. Długo się ze mną nie męczył, wkrótce dali mu na palto gwiazdę i kazali wynosić się z Solnej na Wieniawę. A potem poszło szybko. Dwa lata i było po Baumanie.

A ja? Cóż, mnie udało się lepiej, choć z początku na to nie wyglądało. Upuścił mnie Bauman w drodze na Majdanek, a ten feldgrau, co mu kolbą przyłożył, stanął na mnie okutym bucior, aż mi coś w środku chrupnęło, a że starannie wyoblona na drązarce byłam, więc bucior mu ujechał, a on z okrzykiem „Donnerwetter!” majtnął z rozmachem kozła, aż mu karabin wypalił, a z drzew zerwały się wrony. I tak nie doszedł Bauman do Majdanka, co może i dobrze, a może nie.

W tym zamieszaniu wszyscy o mnie zapomnieli. Odturlałam się siłą bezwładności spod buciora tego feldgrau, wpadłam w przydrożny rów i tak zostałam, a cała wielka procesja widmowych palt, chałatów, koców, kurt filcowych, dziurawych butów, łapci, bosych nóg, gumiaków, chust, kaszkietów, kapeluszy, włosów, łysin, twarzy chudych i grubych, białych i czerwonych, gładkich, zarośniętych, a wszystkie o jednako pustych oczach i rysach bez wyrazu, bez męki ani protestu, nijakich, jak narysowanych z grubnie i bez talentu w oddawaniu uczuć, bo też i oddawać nie było wtedy co, cały ten korowód cieni już podświadomie przeczuwanych przesuwiał się nade mną, omijając lub przekraczając leżącego opodal Baumana, któremu kapelusz odczył się kawałek i tkwił tak, rozpaczliwie niczyj, wśród kocich łbów ulicy, gdzie co i raz czyjaś noga wdeptywała go w ziemię.

Poszli, a ja zostałam sama, z Baumanem tylko, a i jego wkrótce zabrali. Nie wiem, jak długo tam leżałam. Czas, w jakim liczy się istnienie laski, linearnie się nie toczy. Mnie wówczas chyba stanął na amen, bo nie pamiętam, by coś działo się wokół mnie, poza deszczem, słońcem, żarem, śniegiem, mrozem i znowu deszczem. Deszcz był chyba najczęściej, jakiś deszczowy czas wtedy nastał, zanim się na mnie Grześ w tym rowie napatoczył. Grześ przyjechał wozem, z ojcem, ze wsi Kalinówki na targ do Lublina. Traf, że akurat wtedy mu się siku zachciało i zeskoczył do rowu nade mną. I tak znalazł.

Grzesiowi bardzo przypadłam do gustu od pierwszego wejrzenia, ale póki co obejść się musiał smakiem, bo jako dwunastoletnie pacholę wiele do powiedzenia nie miał, gdy ojciec powziął wobec mnie inne plany. Ojcu bowiem też przypadłam do gustu, lecz nie o sobie myślał – całkiem jeszcze był sprawny, podporać się mną nie zamierzał, gdzieżby zresztą jemu, gospodarzowi w sile wieku, z laską po wsi chodzić. Dał mnie swej matce, a Grzesiowej babce, której artretyzm mocno powykręcał kości i ledwie wlokła nogi za sobą, wspierając się na kosturze. Babka prezent-niespodziankę z Lublina przyjęła, choć bez entuzjazmu. Sprawdzała mnie z dziesięć razy, wspierała się całym ciałem, próbowała wygiąć, stuknęła dwukrotnie w naroże chaty, a minę przy tym miała pełną nieufności i dystansu. Byłaby się jednak może ze mną pogodziła, w końcu jestem baumanówka, najlepsza laska w Lubelskiem, sroce spod ogona nie wypadłam, tylko Baumanowi z drażarki, gdyby nagle wzrok jej nie padł na orlą główkę. Dotąd jej nie zauważyła, srebro w dalszym ciągu pokrywała bejca, którą swego czasu Bauman maskując je pociągnął, a babka wzrok już miała nieimponujący. Dojrzała jednak, podniosła ku oczom, spojrzała w srebrne oczy orłu i jak nie wrzaśnie:

-Diabło! – aż statki na półce nad kuchnią zadrżały, a z sąsiedniej izby wleciała przestraszona, że coś z babką niedobrego, synowa.

Nie dała się babka przekonać. Tłumaczenia syna, synowej, że żaden diabło, tylko ptak szlachetny, Polski godło, ozdoba piękna i na pewno cenna, puszczała

mimo uszu. Do ręki mnie już nie wzięła, mimo że Grzesiowy ojciec odczyścił główkę do lśnienia i znów wyglądałam godnie, jak nowa, jak za czasów ekspozycji na wystawie warsztatu parasolniczego na Solnej. Wróciła do starego kostura, a mnie ojciec z ciężkim westchnieniem oddał Grzesiowi do zabawy. Grześ, po początkowej chwili triumfu, nie miał na mnie pomysłu. Postukał w każde drzewo w sadzie, pogmerał w rzęsie na stawie za stodołą, pochwalił się kolegom i na tym właściwie concept mu się wyczerpał. Odstawił mnie na długo, a gdy sobie o mnie przypomniał, była już kolejna wiosna i nastał czas wypędu bydła na młode pastwiska. Wówczas jakoś przypomniałam się Grzesiowi. Wydobył mnie zza skrzyni, uwiązał do orlej główki rzemień i w ten sposób zaczęłam karierę jako bat na leniwe krowy. Nie trwało to długo, bo jednak nie do takich celów mnie Bauman stworzył – źle Grzesiowi w dłoni leżałam, za ciężka byłam, za sztywna. Nie minął nawet czerwiec, a skończyłam jako tyczka do pomidorów.

Tam mnie pod jesień dojrzał mundurowy krasnoarmiejec, bo akurat nadszedł ich czas na pięknej ziemi lubelskiej. Zabrał razem z koszem pomidorów, uczciwie zostawiając ojcu Grzesia w zamian litr samogonu. Długo się mną krasnoarmiejec nie nacieszył, bo zaraz, gdy tylko do kompanii wrócił, pozbawiony mnie został przez wyższą szarżę w skórzanym szynelu, zarobiwszy przy tym zdrowo w pysk. Interes więc zrobił ów żołdat na mnie nienadzwyczajny, dobrze, że choć pomidory zachował, ale odkręcić go nie zdołał, bo kompanię wkrótce postawiono na nogi i pomaszerowała na zachód, w stronę, gdzie od Wisły niebo błyskało pomarańczowo, a wzdłuż horyzontu przetaczały się turkotliwe gromy.

A ja z szarżą w skórze wróciłam do Lublina. I wkrótce znów zmieniałam właściciela – w ramach internacjonalistycznej przyjaźni podarował mnie Rosjanin oficerowi polskiego wojska, Wincukowi, z okazji objęcia przez niego ważnej funkcji w miejscowym Urzędzie Bezpieczeństwa. Z nadzieją przyjąłam tę odmianę, z oczekiwaniem, że w końcu służyć zacznę celom, do których

byłam predestynowana. I owszem, odmieniło mi się, odmieniło diametralnie. Z tym, że niekoniecznie na lepsze. Początkowo nawet myślałam, że tak. Zamieszkałam w dużym pokoju, w sosnowej szafie, co po miesiącach tkwienia w błotnistej grządce, obwiązana sznurkiem, z przytuloną kosmatą łodygą pomidorowej naci, wydało mi się darem bożym. Stałam więc w przytulnym mroku, między stosem akt a wyjściowym mundurem, i czekałam, pełna zapału i dobrej woli, aż mnie nowy właściciel wyciągnie, odkurzy i zacznie używać zgodnie z rolą, do której mnie niegdyś, tworząc i na świat powołując, Bauman przeznaczył.

Okazało się, że ludzkiej pomysłowości w wykorzystaniu laski, zwłaszcza tak wykwintnej jak ja – srebrem zdobiona baumanówka – trudno wykreślić granice. Gdy dziś to wspominam, wydaje mi się, że powinnam się była domyślić, powziąć podejrzenia, bo już choćby fakt, że porucznik Wincuk liczył sobie wiosen dwadzieścia sześć i nogi miał zdrowe jak perszeron, nie wskazywał na najmniejszą potrzebę korzystania z dodatkowego wsparcia. Na co mu więc mogłam być potrzebna?

Do pokoju Wincuka zaczęto przyprowadzać ludzi, którzy na oko mieli najczęściej lat nie więcej niż on. A potem ich wynoszono, a w zmianie ich fizycznego statusu z człowieka na łachman miałam udział nie mniejszy niż sam Wincuk.

Źle wspominam tamte czasy i wołałabym do nich nie wracać. Nie jest to łatwe, zwłaszcza gdy przyjrzeć się mi dokładnie. Ten zaciek wzdłuż z lekka rozszczepionego słoju, na dole, tuż nad gumką (którego to pęknięcia nabawiłam się prawdopodobnie pod gwoździem niemieckiego buta na drodze wylotowej na Majdanek), to nie jest zbyt grubo położona bejca. Za taki zaciek z bejcy Bauman czeladnika ze schodów by spuścił.

Aż wreszcie skończyło się i to. Z pokoju najpierw zniknął Wincuk i, zupełnie nie pamiętając, że jestem jego sojusznikiem wojennym prezentem, zostawił mnie w ciemnej otchłani szafy razem z wyjściowym mundurem. Akta

tylko zabrał - priorytetom ludzkim nigdy nie mogłam się nadziwić. Potem wyniesiono szafę, a wraz z nią mundur i mnie, nie otwórzysz nawet drzwi, do których w dodatku klucz gdzieś się zapodział. Wrzucono nas na pakę ciężarówka i wywieziono na wysypisko. Nie było to sprawiedliwe. Szafie się może należało, bo stara była, rozeschnięta i długo by już nie posłużyła, ale ja? Mundurowi też zresztą na wysypisko było jeszcze za wcześnie. Ale widać ktoś potrzebował radykalnego odcięcia od korzeni i w tym celu najbardziej ekspiacyjnie wydało mu się to. Przyszło nowe, więc stare na śmietnik.

Na śmietniku los nas spotkał rozmaity i nie każde z nas szczęśliwy. Szafa szybko poszła na opał, mundur przydał się jakiemuś biedakowi, czyli oboje, choć w różnym stopniu, okazali się pożyteczni i przez nowe czasy zaanektowani. Tylko nie ja. Na co komu laska na śmietniku? Zrobiono więc ze mnie jedyny użytek, jaki w wyobrażeniu tamtych ludzi miał sens: sprzedano mnie za pół litra mętnej krzakówki jednemu handlarzowi starzyzną, który sporo niezłych interesów zrobił na handlu ze śmieciowymi nurkami. Na mnie się jednak nie poznał, bo szybko i za bezcen trafiłam w ręce pana Popławskiego. Był to młody człowiek z biednej inteligenckiej rodziny, który zajmował wraz z matką małą mieszkanke na warszawskiej Woli. Bo ja – nie wspomniałam wcześniej – razem z handlarzem trafiłam w końcu do Warszawy. I na tej Woli znalazłam przystań na długie lata. Pan Popławski podarował mi mianowicie matkę, której bardzo dokuczały kolana i miała trudności z chodzeniem. Pani Popławska była nauczycielką w jednym z warszawskich liceów, gdzie co rano chodziła pieszo spory kawał, mimo chorych nóg nie uznając tramwajów ni autobusów. Byłam więc jej sporą uciechą i ulgą, polubiłyśmy się od pierwszego dnia. Od razu wyczyściła mi orlą główkę pastą do zębów, że aż błyszczała niczym lusterko, wyszorowała kij, umyła nawet gumkę. Po tych zabiegach poczułam się jak nowa, jakbym dopiero co z warsztatu starego Baumana wyszła. I tak wędrowałyśmy sobie razem przez Warszawę, patrząc, jak gęstnieje od ludzi i maszyn, jak wzmaga się ruch, jak przybywa domów, a ubywa gruzów i



drzew. W życiu samej pani Popławskiej i jej syna nie zmieniało się za wiele. Żyli sobie cicho i nieznacznie, on urzędnik, ona polonistka, on nieśmiały do przesady, życia poza domem nie widział i widzieć nie chciał, ona realizowała się w szkole. Mieli jakąś skazę z przeszłości, coś, co wyłączyło ich spośród społeczności i skazało na dobrowolną emigrację w samotność. Wystarczali sobie. On się nigdy nie ożenił, nawet żadnej dziewczyny nie miał, przynajmniej nie przy mnie. Ona, dochowując warunków ich niepisanej umowy, też poza nim życia osobistego nie doświadczyła. Co się stało z ojcem – żadne z nich nigdy nie wspomniało. W domu nie było żadnego jego zdjęcia, aż zaczęłam podejrzewać, że w ogóle nie zaistniał w ich cichym, poukładanym życiu. Ale zaistniał – czego dowodem był przecież młody Popławski – i to zaistniał pełnoprawnie, jako mąż i głowa rodziny. Nie był jedynie dawcą nieślubnego potomka. Skąd wiem? Podejrzałam kiedyś w papierach. Jan mu było, Jan Popławski, inżynier. Pani Popławska zaś z domu była Danoszek.

Nie żyli ze sobą długo, ot tyle, by spłodzić potomka, po czym wkrótce wybuchła wojna, która pana Popławskiego trwale wymazała z życia żony i kilkuletniego syna. Czas zawieruchy przetrwali na prowincji, ominął ich główny nurt wojennego horroru, o Powstaniu wiedzieli tylko, że było i że kilku sąsiadów z przedwojennej warszawskiej Hożej już nie spotkają. Gdy wojna z grubsza przeszła, Wilhelmina Popławska zapakowała walizkę, wzięła syna i oboje wrócili do Warszawy. Brakowało nauczycieli, więc z pracą pani Wilhelmina, przedwojenna nauczycielka, problemów nie miała. Staraniem dyrektora gimnazjum, gdzie znalazła pierwsze zawodowe przytulisko, po paru latach koczowania kątem, otrzymali tę samodzielną klitkę na Woli i tak, z wolna i bez fajerwerków, potoczyło się przez powojenną Warszawę ich życie.

Nauczycielką pani Popławska była przeciętną. Przez długie lata uczyła w liceum polskiego, nie mając w tym ani szczególnych osiągnięć, ani satysfakcji, ale uczniowie ją lubili. Może dlatego, że choć blada pedagogicznie, wyróżniała się z tłumu równie nijakich kolegów z powodu laski, czyli mnie. A uczniowie

oryginałów lubią, jeśli tylko ich oryginalność nie przejawia się w dręczeniu uczniowskiej braci nadmiarem własnej edukacyjnej ambicji. Tym się pani Wilhelmina nie wyróżniała, raczej przeciwnie – przez lata monotonnej pracy nabrała rutyny, która za nią załatwiała większość szkolnego programu. Te nieliczne chwile, gdy trzeba było wykazać się inwencją i oryginalnością, mijały szybko i ku nieklamanej uldze nauczycielki i jej uczniów. Jako substytut nietuzinkowości występowałam ja. Pani Wilhelmina wchodziła na lekcję postukując mną ciut mocniej, niżby wynikało z okoliczności, potem stawiała opartą o biurko i zaczynała lekcję. Metodę zaś miała taką, że gdy prowadziła wykład, stałam sobie spokojnie przy blacie, natomiast każde wezwanie ucznia do tablicy podkreślane było groźnym w niemym wyrazie ujęciem mnie w dłoń, jakby chciała mieć coś pod ręką na wypadek wyjątkowego matołectwa przepytywanego delikwenta. Nigdy mnie oczywiście nie użyła, nie pogroziła nawet, jednak moja obecność niezmiennie fascynowała pytanych, dzięki czemu to na mnie, zamiast na pytaniu, koncentrowali uwagę. Co im paradoksalnie dobrze robiło na tremę. Dzięki mnie i temu nieszkodliwemu dziwactwu pani Popławska zyskała wśród uczniów ksywkę Laska, co brzmiało dość dwuznacznie, dopóki się jej nie zobaczyło. Malutka i suchutka siwa, chroma kobietka była zaprzeczeniem tego, co dało się podłożyć pod slangowe określenie „laska” i jedynie ja je usprawiedliwiałam, za to niesłychanie skutecznie, przewartościowując zaskoczonemu znaczenie słów i przywracając pierwotne brzmienia.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym Wilhelmina Popławska przeszła na emeryturę. W tym czasie syn, Staś Popławski, robił nieistotną, ale dającą spore perspektywy oraz pewne możliwości, karierę w aparacie. Do pracy chodził codziennie w krawacie, czym wyróżniał się z jednolitego tłumu swetrowych rówieśników. Wykorzystując ową nieistotną z punktu widzenia kraju, ale znaczącą na poziomie ulicy posadę, załatwił matce Krzyż Kawalerski, dzięki czemu jej uboga wypracowana emerytura zyskała zauważalny dodatek.

Wręczenie Krzyża miało odbyć się uroczyście, podczas pożegnania świeżo upieczonych nauczycielskich emerytów w warszawskim kuratorium. Na tę okoliczność ubrała się pani Wilhelmina w najlepszą białą bluzkę, odczyściła ze śniedzi mą orlą główkę pastą NIVEA i poszła, jak zwykle pieszo, wyszedłszy z tego powodu dwie godziny wcześniej, bo do kuratorium z Woli był spory kawałek, a ona chodziła powoli.

Uroczystość była sztampowa: kilku odświętnie ubranych, nieznanym pani Popławskiej, osobnikom naprzeciw ustawionej w szpaler grupki lekko przestraszonych, siwych, byłych już nauczycieli, w zdecydowanej przewadze pań. Jeden był tylko pomiędzy nimi mężczyzna, szczupły matematyk z Batorego, którego poznała na jakiejś zamierzchłej kursokonferencji i zapamiętała, choć nigdy później już się nie spotkali. Był też fotograf, który chyba z nudów pstrykał zdjęcia wszystkim razem i każdemu z osobna. Wszyscy na coś czekali; pani Wilhelmina, jako nieobyta w ceremoniale, nie wiedziała na co. W końcu otwarły się szerokie drzwi i na salę wkroczył szpakowaty mężczyzna w granatowym, dwurzędowym garniturze z jasne prążki, białej uroczystej koszuli z cienkim czarnym krawatem, budzącym uzasadnione podejrzenie, że był na gumce. Za nim dwie urzędniczki w jednakowych garsonkach wniosły jedna kwiaty, a druga niedużą kupkę bordowych podłużnych pudełek z odznaczeniami.

W pierwszej chwili go nie poznałam. Zmienił się, skronie mu posiwiały, sylwetka skapcianała, brzuszek urósł. Urzędniczka wywoływała odznaczonego z listy odznaczonych, a on brał order z pudełka i przypinał każdemu do klapy. Potem urzędniczka wręczała goździk, a następna podsuwała listę do pokwitowania. Szło sprawnie. Podeszłyśmy z Popławską jako czwarte z kolei. Granatowy garnitur wygłosił standardową formułkę – i dopiero wtedy... Najpierw rozpoznałam ten wschodni, śpiewny akcent. Patrząc i oczom nie wierzę. Aż mną zachnęło i z ręki pani Wilhelminie wypadłam. To zwróciło jego uwagę, spojrzał na mnie i zobaczyłam coś jakby błysk wspomnienia w jego

oczach. Schylił się, ujął mnie w dłoń - poczułam znajomy uchwyt – zawahał się i z lekkim ukłonem szarmancko podał pani Wilhelminie, a ja odetchnęłam z ulgą.

- Piękną ma pani laskę – powiedział. – Zabytkową chyba?

- Ach, nie wiem, stara jest, syn mi kiedyś zdobył, gdy na nogi zaniemogłam – odpowiedziała z grzecznym uśmiechem.

- Miałem kiedyś bardzo podobną, ale w powojennej zawierusze zaginęła. Jeszcze raz wszystkiego dobrego – i ze służbowym uśmiechem Wincuk zwracał się już ku następnej w kolejności kandydatce do medalu.

Na tym ostatnim epizodzie zamknął się ostatecznie, choć późno, rozdział mojej wojennej tułaczki. Od tej pory naprawdę poczułam, że mogę w pełni uważać się za towarzyszkę emerytki Popławskiej, że nikt już do mnie żadnych praw rościć nie będzie, ani używać do celów, o jakich Baumanowi się nie śniło.

Dalsze życie popłynęło nam bez większych wzruszeń. Poza jednym, dzięki któremu pani Wilhelmina zapisała się w pamięci znajomych i nielicznej rodziny, za to tak trwale, że jeszcze dziś służy za argument, gdy mowa o zasługach Popławskich dla mającej nadejść po latach dwudziestu z hakiem wolności. Pani Wilhelmina, zyskawszy sporo na wolnym czasie, zapalała miłością do teatru. Interesownie zaprzyjaźniła się z pewną bileterką w Narodowym, która w imię tej przyjaźni odkładała jej bilety na co atrakcyjniejsze spektakle.

Na Dejmkowskie „Dziady” miała obiecaną wejściówkę na 6 lutego. Gdy po Warszawie zaczęły krążyć słuchy o zakazie wystawiania oraz o tym, że ostatni raz będą one na deskach 30 stycznia, zaniepokojona pobiegła do teatru, by spróbować, wykorzystując znajomość z bileterką, dostać się na widownię w tym dniu, choćby na dostawkę. Nic z tego nie wyszło, w teatrze panowała atmosfera nerwów i podniecenia, zaprzyjaźniona bileterka bała się cokolwiek zrobić, radziła jej, by w ogóle najlepiej poszła do domu, bo coś tu wkoło śmierdzi. Wilhelmina nie poszła. Nie wiedząc, co zrobić ze sobą, a może też przeczuwając wagę nadchodzących wypadków, przesiadła spektakl w

pobliskiej kawiarni, nerwowo obserwując wyjście z teatru. Wypiła trzy kawy, zjadła nawet ciastko, choć lekarz kazał unikać cukru, i patrzyła.

Tłum, który wylał się z drzwi teatru, nie był zwykłym tłumem spieszących do domu teatromanów. Usłyszała skandowanie, tłum sformował pochód i ruszył w stronę Krakowskiego Przedmieścia. Pchnięta impulsem, wyszła pani Popławska przed kawiarnię. Pochód przeszedł koło niej, skandując hasła, których nie słyszała czterdzieści lat, a od których najpierw ze strachu podniosły się jej włosy na głowie, a potem ogarnęła bezrozumna, ale zachwycająca euforia. Utykając poszła za nimi, lecz nie nadążała, główny nurt pochodu zostawił ją w tyle, tylko nielicznych, nie do końca zdecydowanych, czy iść, oraz zwykłych gapiów wkrótce miała obok siebie. Gdy więc dotarła pod pomnik Mickiewicza, pochód szczelnie otaczał milicyjny kordon.

Trwał nieopisany rozgardiasz. Tłum rytmicznie wykrzykiwał hasła, jakiś milicyjny dowódca trzeszczał niezrozumiale megafonem, nikt nie słuchał, co mówi, ale gdyby nawet chciał, to szansa, by go zrozumieć, była marna. Pani Popławska podeszła bliżej. Przed sobą miała szare plecy milicyjnych mundurów, a nad nimi długi rząd błyszczących w świetle latarń szarych kasków.

- Pani stąd idzie! – rozkazał jakiś cywil, stojący obok warszawy z napisem MO, więc się Pani Wilhelmina cofnęła, ale tylko troszkę. I wtedy się zaczęło.

Nie wierzyła własnym oczom, to było jak film, jakby oglądała to na ekranie kina Muranów, gdzie lubiła chodzić. Patrzyła jak zaklęta na wznoszące się i opadające białe krechy pałek, słyszała głosy bólu i wykrzykiwane w dalszym ciągu hasła. Patrzyła. Docierało do niej, że ci bici, ci, których entuzjazm i słowa protestu tak ją zachwyciły, to dzieci prawie, dzieci, jakie trzy lata temu uczyła o Mickiewiczu, a on teraz przyglądał się temu z wysokości cokołu. I ją – cichą i spokojną, niewychylającą się, przeciętną nauczycielkę, dziś zapomnianą emerytkę, ogarnęła furia. Ścisnęła mnie mocno w garści i z okrzykiem:

- Bandydzi! – jak nie lunie mną przez najbliższy szary kask! Aż dźwięknęło, kask spadł, a głowa pod nim, cała w skołtunionych blond włosach, wtuliła się w ramiona, w instynktownym oczekiwaniu następnego ciosu.

Pani Wilhelmina nie poprawiła, lecz zamiast tego przyłoiła następnemu, a potem jeszcze jednemu i jeszcze. Więcej nie zdążyła, bo wokoło zrobiło się luźno i usłyszała nawet kilka nerwowych śmiechów. Musiał to być zaiste komiczny widok dla postronnego obserwatora, nawet z milicyjnych szeregów: młoda starsza pani, odświętnie ubrana, waląca na odlew drewnianą łagą po pancernych łbach i drąca się przy tym piskliwie:

- Zwyródniałcy! Bandydzi!

Rechotali coraz głośniejsze, uchylając się przed razami, w końcu jeden postanowił z tym skończyć, przeciągnął pałą poniżej kolan Popławskiej, a ona upadła jak ścięta, czując w łydkach palącą jak od rozpalonego pręta, wysmukłą smugę bólu.

Zgarnęli ją do sukki razem z grupką studentów. Młodzi patrzyli na nią zdezorientowani, a potem coraz przyjaźniej uśmiechnięci. Jeden powiedział nawet:

- Dobry wieczór, pani profesor – pewnie dawny uczeń, ale go nie rozpoznała.

Spędziła z nimi, milcząc, całą noc w zbiorczej celi aresztu. Podniecenie uszło z niej jak powietrze z balonu, zapal rewolucyjny ostygł. Już nie miała ochoty z nikim walczyć, żadnych demonstrować szlachetnych furii. Chciała do domu, do swoich ziółek i emeryckich kapci. Chciała móc włączyć radio i z wewnętrznym oburzeniem, bezpieczna w swoich czterech ścianach, posłuchać, jak spiker pryncypialnie potępia warcholskie ekscesy spod pomnika Mickiewicza. Gdy w końcu wzięto ją na przesłuchanie, cichym głosem poprosiła, by zadzwoniono do towarzysza Popławskiego, do komitetu.

Staś zjawił się po pół godziny, następne pół spędził za zamkniętymi drzwiami gabinetu komendanta komisariatu. Wyszedł wściekły, po czym z celi

wyprowadzono panią Popławską i Staś zabrał ją do domu. Mnie oddali jej przy wyjściu. Noc spędziłam w milicyjnym depozycie, wśród podejrzanych worków i pakunków, była tam nawet jedna cegła. I cuchnęło zdechłą myszą, wiem, bo poznałam ten zapach dobrze za skrzynią u Grzesia na wsi. W samochodzie Staś nic nie mówił, zapewne z obawy, że kierowca będzie słuchać i jeszcze rozgłosi, gdzie nie trzeba. Nastawiał się pewnie na reprimendę w domu, ale zanim dojechaliśmy, już mu przeszło i tylko pokiwał głową i

- Oj, mamó, mamó – powiedział.

A pani Popławska uśmiechnęła się smutno, przeprasząc, i poszła nastawić herbaty.

Umarła piętnaście lat temu. Staś Popławski, przez pierwsze lata transformacji szanowany biznesmen w sektorze paliwowym, dziś także emeryt, likwidując małe mieszkanie na Woli, sprzedał mnie w pewnym komisie, gdzie takich jak ja staroci kurzyło się mnóstwo – nikomu niepotrzebnych, niechcianych świadków minionych epok. W końcu, przeceniana z pięć razy, trafiłam do pana Gapko, handlarza, który tropem pamiątek całe życie przemierza Polskę wschodnią, od Wisły po Bug. I tak to się kończy – bez fajerwerków, bo życie wszak nie na fajerwerkach polega, zwłaszcza takiej laski, jak ja.